

Muzea w Polsce odwiedzane są niezbyt chętnie... Ludzie narzekają na zbyt wysokie ceny biletów („Metro”, 8 VII 2008), a także brak udogodnień i rozrywek dla dzieci.

W internetowym „e-metrze” (*Nie zabieraj dziecka do muzeum*, 15 VII 2008) opublikowano nawet kuriozalne pretensje, że obrazy w muzeum wiszą za wysoko, by mogły je oglądać małe dzieci! Przejęty bez reszty swą rodzicielską rolą anonimowy ojciec kilkuletniej Marysi zapomniał najwyraźniej o dorosłych widzach, których kręgosłupy mogłyby z kolei nie wytrzymać konieczności ciągłego pochylania się.

No i po co nam w ogóle te muzea...?

No właśnie – po co? Bo jak wynika z sondażu przeprowadzonego pod koniec maja br. na zamówienie miejskiego Centrum Komunikacji Społecznej i opublikowanego w „Gazecie Stołecznej” (4 VII 2008) warszawiacy zdecydowanie wolą nowy most od nowego muzeum. Tylko 8% ankietowanych osób uznało, że miasto potrzebuje powstającego właśnie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, 87% woli obwodnicę, 81% nowy odcinek metra, a 71% Most Północny.

Wielka szkoda, że w tej mało poważnej medialnej wrzawie wziął udział także tygodnik „Polityka”, publikując artykuł Piotra Sarzyńskiego (*Mniej muzeum w muzeum*, nr 20, 2008), który w wielu kwestiach jawnie mija się z prawdą bądź podaje fakty tendencyjnie okrojone lub przeinaczone. Jego autor od samego początku zdradza kompletną nieświadomość odrębności muzeów artystycznych od całej reszty placówek muzealnych. We wstępnej wyliczance w ogóle brak tego podstawowego typu muzeum, które przede wszystkim gromadzi dzieła sztuki. Nie dokumenty, nie przedmioty kultury materialnej, nie elektroniczne gadżety mające cieszyć, a jednocześnie wtłoczyć publiczności jakąś wiedzę, ale takie różne dziwne, na pozór całkowicie bezużyteczne obiekty – głównie obrazy i rzeźby – które mają zasp-

ANNA ŻAKIEWICZ

kajać potrzebę przeżyć estetycznych. Jeśli się oczywiście taką potrzebę w ogóle ma... I tu chyba jest ten przysłowiony pies pogrzebany.

Bo w całym tym hałasie, jaki panuje ostatnio w mediach wokół polskich muzeów, spowodowanym w dużej mierze kryzysem w warszawskim Muzeum Narodowym, wyraźnie wychodzi na jaw, że nawet ludzie wykształceni nie bardzo wiedzą, jak ugryźć ten temat. Muzeum Powstania Warszawskiego miesza im się z muzeum w Bilbao, a Luwr z Muzeum Żydowskim w Berlinie. TVP zaś pokazuje elektronicznie wygenerowaną gadającą Monę Lisę w muzeum w Seulu i utyskuje na puste sale w warszawskim Muzeum Narodowym (nb. sfilmowane w poniedziałek, a więc w dzień, kiedy nie tylko warszawskie muzeum jest zamknięte, ale i większość tego typu instytucji na świecie). Jaką informację otrzymuje widz i czytelnik prasy? Ano tylko taką, że wszędzie, nawet w Korei jest lepiej niż u nas... i tyle. A problem, choć o wiele bardziej złożony, nie jest wcale taki trudny do ogarnięcia, wymaga jednak odrobiny więcej rzetelnej wiedzy i uczciwej, a nie obliczonej na tani efekt, informacji.

Po pierwsze – nawet w paryskim Luwrze ani Mona Lisa, ani żaden inny obraz nie gada do zwiedzających. To ciekawostka, gadżet, który nijak się ma do rzeczywistości muzealnej na świecie. I naprawdę wszędzie jest tak (w ciągu ostatnich kilkunastu lat zwie-



1. Kolejka osób oczekujących na wejście na wystawę „Impresjoniści” w Muzeum Narodowym w Warszawie, 2000/2001 r.

dziłam blisko setkę muzeów europejskich i ponad dwadzieścia amerykańskich; często „od kuchni”, uczestnicząc w ich pracy), że są muzea mające na celu przekazać konkretną wiedzę o jakimś problemie – to są muzea typu właśnie Powstania Warszawskiego, należy do nich m.in. berlińskie Muzeum Żydowskie, waszyngtońskie Holocaust Museum, londyńskie Imperial War Museum, czy nawet absolutnie rewelacyjne zarówno pod względem rozrywkowym, jak i informacyjnym – International Spy Museum w Waszyngtonie oraz muzea artystyczne – do nich należą polskie Muzea Narodowe, jak też Luwr, National Gallery w Londynie, Gemaelde Galerie w Berlinie, madryckie Prado, petersburski Ermitaż, Metropolitan Museum w Nowym Jorku i wiele innych, w których gromadzi się i ekspozuje dzieła sztuki. We wszystkich placówkach pierwszego typu są projekcje filmowe, interaktywne komputery, rekonstrukcje okopów, schronów,



2. Wernisaż wystawy „Złoty wiek malarstwa flamandzkiego”, Muzeum Narodowe w Warszawie, 2007 r.

imitacje kominów krematoryjnych, fotografie, dokumenty, poruszające wyobraźnię przedmioty codziennego użytku i... mnóstwo grup wycieczkowych, głównie szkolnych. Ale niemal naprzeciw zatłoczonego Holocaust Museum, przy tej samej waszyngtońskiej Mall stoi dużo większa i lekko pustawa (mimo że mają tam m.in. dzieła Leonarda da Vinci, Tycjana i Rembrandta) National Gallery of Art, gdzie w salach zamiast elektronicznych gadżetów są po prostu obrazy, rysunki, grafiki i rzeźby, czyli dzieła sztuki, z którymi dobrze jest obcować indywidualnie i raczej w spokoju. Niemniej jednak nawet ja poczułam się lekko nieswojo, kiedy w oglądaniu interesującej wystawy rysunków Claude'a Lorraine'a towarzyszył mi tylko strażnik muzealny. Lynn Russel, szefowa działu edukacyjnego NGA, wyjaśniła mi, że taka już jest ta publiczność waszyngtońska – niezbyt wyrobiona artystycznie; ludzie przyjeżdżają do stolicy obejrzeć przede wszystkim Kapitol, Białą Dom, odwiedzić Memorials (pomniki-mauzolea poświęcone wybitnym prezydentom i bohaterom wojennym) i zdecydowanie wolą muzea problemowe, których zresztą w tym mieście jest pod dostatkiem (poza wyżej wymienionymi – przy samej

Mall – Space Museum z najrozmaitszymi pojazdami powietrznymi oraz Natural History Museum z wypchany mi i wirtualnymi zwierzakami), a jeśli już ktoś wybierze się do muzeum artystycznego, to ogląda wyłącznie Leonarda i Rembrandta... Rysunki Lorraine'a...? A kto to w ogóle jest? I dlaczego tylko rysunki, a nie obrazy?! To nie Nowy Jork czy Paryż... Brzmi jakoś znajomo, prawda?

Może zatem problem tkwi nie w samych muzeach, lecz w niezbyt chętniej i słabo wyedukowanej publiczności, która trafia się i u nas, i w Ameryce, którą w nieuctwie utwierdzają dodatkowo popularne media? Kilka lat temu w telewizyjnych „Wiadomościach” jeden z warszawskich polityków bez zenady oświadczył do kamery, że miastu potrzebne są mosty, nie muzea. Niby prawda, ale takie bezkrytycznie publikowane stwierdzenia nie wpływają raczej na zwiększenie potrzeb w zakresie życia kulturalnego... Wprost przeciwnie – umacniają szkodliwe stereotypy. W efekcie – kiedy osoby spoza mojego kręgu zawodowego dowiadują się, kim jestem, gdzie pracuję i że – o zgrozo! – do Ameryki jeżdżę zwiedzać muzea i galerie, a nie robić zakupy, biznesy czy pracować w knajpie, jestem traktowana podejrzliwie, a czasem nawet jak ktoś lekko pomyłony...

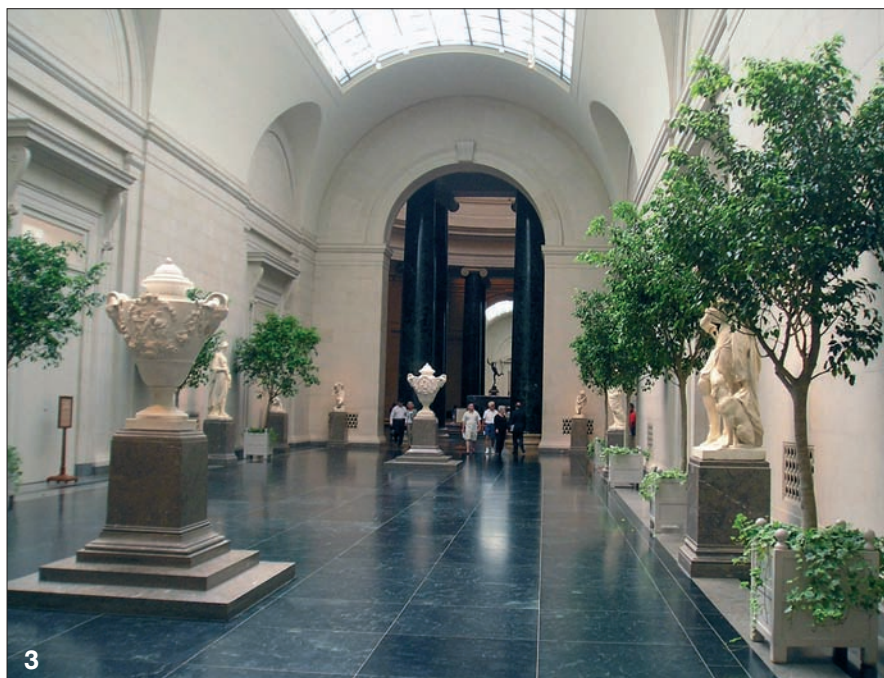
Zgadzam się jednak, że – zwłaszcza w tej sytuacji! – nie należy publiczności stawiać zbyt wygórowanych wymagań. Nie da się też nie dostrzec, że różne wynalazki techniczne bardzo ułatwiają i urozmaicają życie. W pewnych wypadkach mogą też stać się przysłowiowym i bardzo użytecznym pomostem „między dawnymi i nowymi laty”. Problem w tym, że to wszystko kosztuje. I to słono. Waszyngtońska National Gallery of Art np. zamówiła dwa krótkie filmy edukacyjne związane z wielkimi dziełami ze swoich zbiorów u wybitnego nowojorskiego artysty działającego w dziedzinie sztuki nowych mediów, Grahame'a Weinbrena. Honorarium za realizację takiego 6-minutowego filmu – to 50 tys. dolarów, nie licząc dodatkowych wydatków związanych z jego produkcją. Zaprośiliśmy Weinbrena do Polski. Wystąpił dwukrotnie w listopadzie ubiegłego roku w sali kinowej Muzeum Narodowego w Warszawie, prezentując swoją twórczość, do czego pretekstem stała się wystawa sztuki flamandzkiej, a motywem wiążącym współczesnego artystę z dawnymi mistrzami był jego film poświęcony jednemu z obrazów Rubensa ze zbiorów waszyngtońskich (NGA zgodziła się na nieodpłatny pokaz premierowy w Warszawie!). Głównym jednak powodem całego przedsięwzięcia był pomysł, by Grahame Weinbren mógł kiedyś zrealizować w warszawskim muzeum interaktywną interpretację naszego sztandarowego obrazu Witkacego „Fantazja-Bajka” z 1921 r., który z racji swej zawartości treściowej bardzo się do takich działań nadaje. Listopadowe spotkania miały służyć przybliżeniu sprawy polskiej publiczności, mediom i ewentualnym sponsorom, jako że koszt takiego dzieła – to blisko 300 tys. dolarów, na które żadnego polskiego muzeum zwyczajnie nie stać, choć posiadanie go zbliżyłoby nas z pewnością do światowej czołówki. Nie mówiąc już o tym, że uczynienie dzieła wybitnego, choć ciągle jeszcze zbyt mało znanego poza naszym kra-

jem, polskiego artysty obiektem działania twórcy funkcjonującego w światowym obiegu (o Weinbrenie piszą np. Lev Manovich i Michael Rush – autorzy podstawowych opracowań o sztuce nowych mediów) miałyby też nieocenioną wartość promocyjną dla naszej kultury i to w wielu aspektach. Na żadnym ze spotkań z Weinbrenem nie pojawił się żaden dziennikarz, choć otrzymali oni – jak zwykle – zaproszenia...

Kompletną bzdurą jest domaganie się np. przez Piotra Sarzyńskiego (ten zarzut pojawił się nie tylko w wyżej wymienionym jego artykule, ale zdarzał się już wcześniej) od Muzeów Narodowych, by organizowały wystawy twórców żyjących. Owszem, incydentalnie dochodzi do takich wystaw (np. prezentacja prac Jorga Immendorfa w MNW w 1998 r.), jednak właściwym miejscem takich ekspozycji jest w Warszawie Zachęta i Centrum Sztuki Współczesnej, podobnie jak w Nowym Jorku zarządzają je Whitney Museum i MoMA, a nie Metropolitan, w Londynie zaś Tate Modern, a nie National Gallery, w Paryżu Centre Pompidou, a nie Luwr czy Musée d'Orsay etc., etc.

Niezmiernie też zdumiewa utyskiwanie na „ostatnie 10 lat zmarnowanych przez Muzeum Narodowe w Warszawie”. Jego autor chyba już sam zapomniał o własnych pochlebnych recenzjach z organizowanych w tym czasie przez muzeum wystaw. I że wystawy te nierzadko trafiły na ogłoszane w „Polityce” listy najciekawszych wydarzeń kulturalnych poszczególnych lat. Jakiś szczególnie przypadkiem amnezji, czy co? Może więc warto przypomnieć? „Caravaggio i caravaggionizm” w 1996 r., „Andy Warhol” w 1998, „Impresjoniści” z Musée d'Orsay w 2000, „Picasso” w 2002, „Transalpinum” w 2004 i wiele innych, które przyciągnęły od kilkudziesięciu do nawet 250 tys. widzów, co jest niemalym sukcesem i to nie tylko w polskich warunkach. Rokrocznie warszawskie muzeum zdobywa przynajmniej jedną „Sybillę”, czyli muzealny Oscar, przyznawany przez Ministerstwo Kultury w kilku dziedzinach (wystawa artystyczna, historyczna, przyrodnicza, wydawnictwo, program edukacyjny i naukowy). Za 2007 r. otrzymała tę nagrodę wystawa „Złoty wiek malarstwa flamandzkiego”, która odbyła się jesienią. To mają być te „zmarnowane lata”? To są te wystawy, które – jak twierdzi Sarzyński – „bardziej stanowią zaspokojenie własnych ambicji naukowych muzealników, aniżeli pokrywają się ze społecznym zapotrzebowaniem”? To kuriozalne stwierdzenie autor wkłada w usta Przemysława Nowogórskiego, dyrektora Departamentu Dziedzictwa Narodowego w Ministerstwie Kultury, co nie może być prawdą, choćby dlatego, że badania naukowe należą do obowiązków pracowników merytorycznych Muzeum Narodowego; wynika to ze statutu muzeum, zatwierdzonego przez Ministerstwo, które na bieżąco otrzymuje sprawozdania z tej działalności. Ponadto – kto miałby określać to „zapotrzebowanie społeczne”? Jakiś komisarz ludowy? Takie czasy i obyczaje już kiedyś były i nic dobrego ani dla społeczeństwa, ani dla kultury z nich nie wynikło...

Sarzyński pisząc o „niemaliej dotacji” Ministerstwa Kultury w wysokości 28 mln zł rocznie na bieżącą działalność MNW sugeruje, że kwota ta jest za duża i niewłaściwie wykorzystana. Wystarczy zebrać podstawowe informacje, by dowiedzieć się, że roczny budżet Luwru (w 2006 r.) – to prawie 187 mln euro, National Gallery w Londynie – blisko 43 mln funtów, Metropolitan Museum w Nowym Jorku – 297 mln dolarów, a tamtejszego Museum of Modern Art – 190 mln dolarów. Mimo to nasza oferta wystawowa jest porównywalna ze światową – tak pod względem jakości, jak i ilości, a towarzyszące im programy edukacyjne i tzw. events w wielu wypadkach nawet ją przewyższają. Warto np. porównać wydarzenia towarzyszące wystawie „Wyprawa w 20-lecie” (była czynna do 31 marca br.) z analogiczną „oprawą” dowolnej wystawy w dowolnym muzeum na świecie. Istotną różnicą są znowu pieniądze – poza Polską wstęp



3. National Gallery of Art w Waszyngtonie, główny westybul

na wykłady, pokazy filmów, spotkania, zajęcia dla dzieci etc. na ogół jest dodatkowo (niezależnie od biletu wstępu) płatny, u nas – darmowy, choć przeważnie trzeba wykupić bilet (w MNW – 12-17 zł, w Europie – 12 euro, a w USA – 20 dolarów).

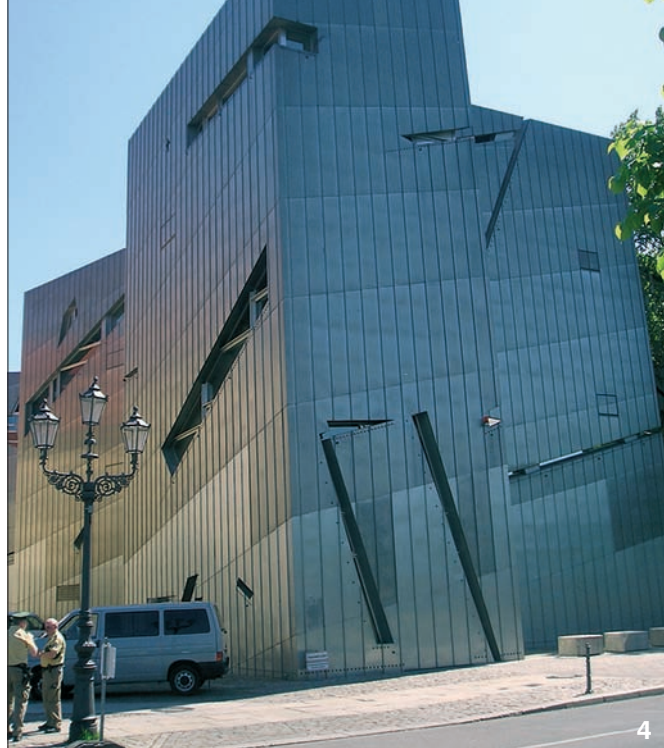
Profesor Eric de Chasse, kurator wystawy „Repartir a zero” (sztuka europejska i amerykańska w drugiej połowie lat czterdziestych XX w.), która otwarta zostanie w Musée des Beaux-Arts w Lyonie jesienią br. (będą w niej uczestniczyć również prace polskich artystów, m.in. ze zbiorów MNW), ma do dyspozycji – jako budżet początkowy, tylko z publicznych pieniędzy – 400 tys. euro, spodziewa się jeszcze sporych dotacji od sponsorów prywatnych. Mimo to podczas wykładu na Uniwersytecie Warszawskim na początku marca br. profesor przeproszał słuchaczy, że na wystawie nie będzie najważniej-

szych dzieł Jacksona Pollocka ze zbiorów amerykańskich, bo ubezpieczenie jednego obrazu tego artysty – to koszt 40 tys. euro.

Przygotowując w 2005 r. monograficzną wystawę Władysława Hasióra, otrzymałam z Ministerstwa Kultury 70 tys. zł. Gdyby nie okazało się wsparcie głównego sponsora MNW, banku PKO BP, oraz pieniądze nie bez trudu wygospodarowane z bieżącego budżetu przez dyrektora Ferdynanda B. Ruszczycę, nie starczyłoby nawet na katalog... Budżet wystawy zamknął się w 460 tys. zł, choć, niestety, kwota ta nie pozwoliła zrealizować przynajmniej 1/3 założeń scenograficznych, co znacznie zubożyło tę ekspozycję, niemniej jednak znalazła się ona na wspomnianej wyżej liście 10 wystaw w rankingu najważniejszych wydarzeń kulturalnych 2005 r. wytypowanych przez „Politykę”.

Należy dodać, że kurator wystawy realizujący ją w macierzystym muzeum nie otrzymuje honorarium ani za koncepcję, ani za scenariusz, ani za nadzór nad jej realizacją. Dobrze, jeśli uda mu się dostać pieniądze za przygotowanie katalogu, co nie jest regułą. A trzeba wiedzieć, że przygotowanie wystawy – to na ogół dwa lata ciężkiej pracy (kwerendy, opracowanie scenariusza, negocjacje wypożyczeń, zdobywanie sponsorów, przygotowanie katalogu i ekspozycji), i to poza codziennymi obowiązkami – inwentaryzacją i opracowaniem obiektów, obsługą kwerend i wypożyczeń. Dni pracy w ostatnich kilku tygodniach przed wystawą trwają nierzadko po 12-14 godzin, często łącznie z weekendami, za co również nie otrzymuje się dodatkowego wynagrodzenia (można tylko odebrać tzw. nadgodziny). A miesięczna pensja pracownika merytorycznego to – w zależności od stanowiska i stażu pracy – od 1500 do 2500 zł netto. Część z nas ma doktoraty, wielu ukończyło studia podyplomowe, znamy po 2-3 języki obce... Sytuację tę zносimy z godnością i humorem, dorabiamy wykładami i publikacjami (często zagranicznymi, bo nasze umiejętności i praca są dostrzegane i cenione na świecie), a nade wszystko mamy ogromną satysfakcję z tego, co robimy, bo niemal wszyscy jesteśmy hobbystami i entuzjastami swojej pracy. Wierzmy też, że nasze starania przyczyniają się do tworzenia narodowej kultury i zachowania dziedzictwa narodowego. Gromadzone przez nas zbiory i nasze publikacje będą służyły ludziom nawet wtedy, kiedy już nikt od dawna nie będzie pamiętał o co kłóciło się PO z PIS-em. Bo doświadczenie pokoleń uczy, że ludzie przemijają, a sztuka zostaje.

Dobrze by więc było, gdyby media nas w tym wspierały, czego wyrazem może być też oczywiście rzeczowa krytyka, oparta jednak na solidnych podstawach merytorycznych. Przykładem konstruktywnego głosu w dyskusji o muzeach jest artykuł Jacka Lohmana *Wyzwania dla współczesnych muzeów* („Spotkania z Zabytkami”, nr 6, 2008). Jako dyrektor Museum of London, autor jest praktykującym muzealnikiem i świetnie zdaje sobie sprawę, jak trudno jest obecnie przyciągnąć uwagę widza absorbowanego coraz to nową, bogatą i urozmaiconą ofertą kultury popularnej. Lohman jednak słusznie zwraca uwagę na złudną magię wirtualnej rzeczywistości muzealnych stron internetowych, których odwiedzanie nie może i nie powinno zastępować wizyt w realnych muzeach. Wyda-



4. Budynek Jüdisches Museum w Berlinie

(zdjęcia: 1, 2 – Archiwum Muzeum Narodowego w Warszawie, 3, 4 – Anna Żakiewicz)

je się jednak, że autor odrobinę przecenia rolę atrakcyjnej architektury muzealnej, przywołując m.in. przykład Jüdisches Museum w Berlinie. O ile efektowny projekt Daniela Libeskinda znakomicie współbrzmi z najniższym poziomem muzeum poświęconym Zagładzie, czego ukoronowaniem jest pomieszczenie symbolizujące krematoryjny komin, to jednak aranżacja wyższych pięter, gdzie prezentowana jest historia narodu żydowskiego nijak się ma do architektury, przeciwnie – dość tradycyjna ekspozycja i nowoczesna forma budynku wyraźnie sobie przeszkadzają. Myślę też, że prof. Jack Lohman – dla odmiany – trochę nie docenia (a może po prostu nie zauważył?) istniejącej od dobrych kilku lat ogromnej chęci współpracy muzealników w Europie Środkowej. Już w 2001 r. Julia Meszaros, dyrektorka Varosi Múzeumi Galéria w Györze, wspólnie z Evą Trojanovą, kuratorką Narodni Galerie w Bratysławie, zaprosiła do współpracy kuratorów muzeów na Węgrzech, w Polsce, Austrii, Rumunii, Serbii, Chorwacji i Słowenii, czego efektem była niezwykle interesująca wystawa „Kozep-Europai Avangard Rajzes Grafika 1907-1938”, a obecnie Anna Manicka z Muzeum Narodowego w Warszawie wspólnie z Katalin Bakos z Nemzeti Galéria w Budapeszcie pracuje nad wystawą „Coś się dzieje między nami... Polska i węgierska grafika dwudziestolecia międzywojennego”.

Miejmy jednak nadzieję, że prof. Jack Lohman, który w końcu kwietnia br. został Przewodniczącym Rady Powierniczej MNW nie tylko pomoże nam w dalszej współpracy w naszym regionie, ale wprowadzając nasze problemy na szersze forum międzynarodowe sprawi, że i w Polsce zostaną one należycie docenione. Bo – jak wiadomo – najtrudniej jest być prorokiem we własnym kraju...

Anna Żakiewicz